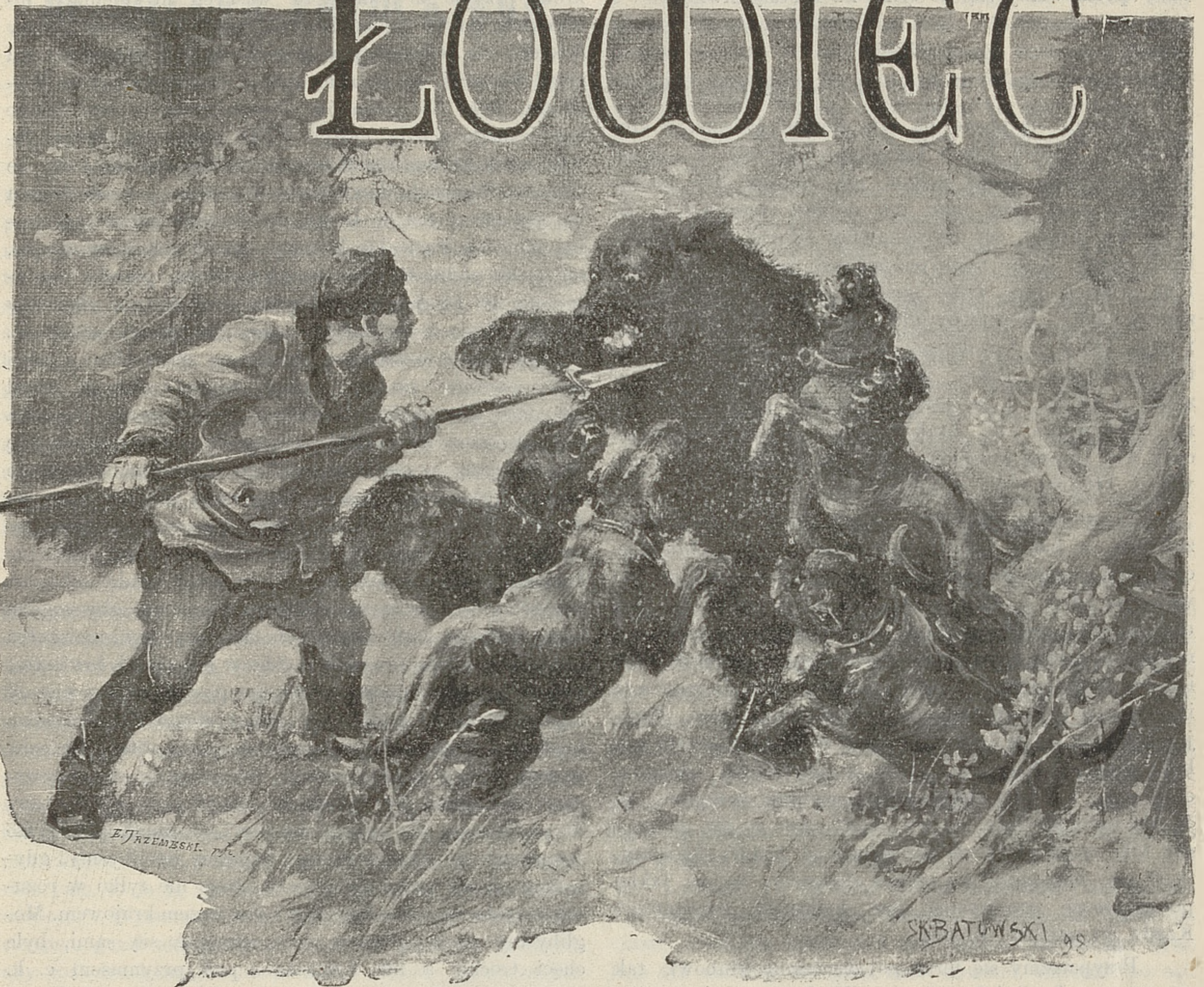
Nr. 14. Lwów, 15. lipca 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Nasze petycye w Sejmie.

Pomimo wczesnego wniesienia obydwóch petycyi do Sejmu, w sprawie zmiany przepisów o święceniu niedzieli i w sprawie przyznania pewnej części funduszu, z kart łowieckich uzyskanego, na cele podniesienia łowiectwa krajowego — i pomimo wszelkich starań poczynionych w komisyi administracyjnej sejmowej, w myśl uchwały walnego zgromadzenia, *petycye te nie zostały załatwione.*

Nie można się obronić przed pewnem uczuciem żalu, że nasze długoletnie starania nie mogą się doczekać pomyślnego rezultatu — ale nie można także składać winy na Sejm, że ze słusznem żądaniem świata łowieckiego się nie liczył i że ich nie uwzględnił, bo czas na obrady był tak szczupło wymierzony, że z porządku dziennego spadło *kilkadziesiąt* spraw, z których niejedna miała ważniejsze i ogólniejsze znacznie, niż nasze sprawy, choć są one dla nas niewątpliwie bardzo ważne. Miejmy nadzieję, że słusznym naszym żądaniom uczyni Sejm zadość na pierwszej sesyi, w której przyznany mu będzie dostateczny czas do załatwienia całego materyału.

Powiedzmy sobie jednak, że i sami dużo winniśmy, iż sprawy, odnoszące się do łowiectwa, spychane są na plan daleki — gdybyśmy bowiem z takim zapałem, z jakim wybieramy się na dobre polowanie, bronili praw naszych łowieckich, starali się o przestrzeganie przepisów ustawowych, biegli z pomocą każdemu, kto chce naprawić stosunki łowieckie w naszym kraju, tyle jeszcze poprawy potrzebujące, nie bylibyśmy skazani na traktowanie spraw naszych gdzieś, gdzieś na bardzo szarym końcu. Zjazd nasz tegoroczny smutne pod tym względem sprowadza refleksye i tutaj odstępujemy głosu czcigodnemu wiceprezesowi naszego towarzystwa, bo z nadesłanej nam korespondencyi najlepiej każdy wyczuje, że brak poparcia może najgorliwszego pracownika

na polu prawdziwego rozwoju łowiectwa, zniechęcić, choć spodziewamy się, że tylko na krótką chwilę.

Wysuczka, d. 12. lipca 1901.

Dziwnie się plecie na tym Bożym świecie, z kim się zejść i zgadać, każdy krytykuje i narzeka a wszystkich opanowała, jakaś apatya, nie mogąca być niczem wytłumaczoną. Czy nam tak dobrze rzeczywiście, że o nic nie dbamy, czy wyczekujemy jakichś nadzwyczajnych rzeczy, które mają teraźniejszy porządek zmienić i na gruzach jego, nowy gmach porządku społecznego zaprowadzić? Doprawdy nie umiem sobie wytłumaczyć i może który z towarzyszy w św. Hubercie rozwiąże ten problemat. Takie refleksye naprowadza ostatni zjazd łowiecki, i w przeciwieństwie do tego wieczne utyskiwanie na brak erergii organów, czuwających nad ustawą łowiecką, oraz na mnożące się coraz więcej, kłusownictwo w kraju.

Zastanówmy się tedy, co jest zjazd; wszak jestto zebranie się ludzi, hołdujących jednej idei i obradujących nad usunięciem braków, jakieby się znalazły; jestto wymiana zdań i porozumienie się w sprawach tej idei dotyczących, jestto wspólna praca mająca przynieść korzyści nie tylko jednostkom, lecz całemu społeczeństwu idei tej hołdującemu. Jestto manifestacya, liczebnością imponująca i im liczniejsza, tem skuteczniejsza. Przyjeżdżam raz do Wiednia i nigdzie w żadnym hotelu pokoju znaleść nie mogę, pytam, co za powód, odpowiadają mi, że jest *Schützenfest*, czytam następnie, że 16.000 osób zjechało na ten „fest“, czy to nie potęga? czy taki zjazd nie może zaimponować każdej legislatywie? czy domaganie się czegoś słusznego wobec takiej potęgi może przebrzmieć bez dodatnich rezultatów? Każdy mi przyzna, że nie.

Przypatrzmy się teraz pojedynczemu klubowi, tak zwanemu „Jagd-clubowi“ we Wiedniu; w tym roku odbyło się zgromadzenie jego, trzystu kilkudziesięciu członków brało udział w obradach, a czytać protokoły tych posiedzeń, czytać referaty opracowane i wygłaszane, to wyrywa się z piersi Polaka westchnienie, czemu to u nas tak nie jest, szuka się powodu apatyi, jaka nami owładnęła. Zapewne, że łowiectwem ojczyzny nie zbawi, lecz łowiectwo krajowe pojęte tak jak w innych krajach zachodu, stanowi jedną i to z ważniejszych gałęzi gospodarstwa kultury krajowej. Niechaj każdy hołdujący jakiejś szlachetnej idei, przejmie się nią i pojmuje ją ze stanowiska ogólno-krajowego, a wszystkie idee złączone w harmonijny akord, stworzą całość, do której każdy Polak gorąco wzdychać powinien. Przypatrzmy się Czechom, przypatrzmy się Węgrom: solidarność i dążenie do urzeczywistnienia wspólnej myśli na każdym kroku, nawet gdyby to było nazwane szowinizmem narodowym, wznosi ich coraz wyżej i imponują światu siłą żywotności. A my jak te sprawy pojmujemy? Przypatrzmy się sobie dokładnie, czy możemy choćby w jednym kierunku porównać się z ościennymi narodami? Są i między nami jednostki chętne i radeby coś zdziałać, wnet jednak opuszczają ręce i z narzekaniem na ogólną apatyę wycofują się.

Nie gniewajcie się, Towarzysze moi z pod sztandaru św. Huberta, za powyższe refleksye; wejdźcie w położenie człowieka, który radby Wam na każdym kroku przyjść z pomocą w waszych utrapieniach łowieckich, gdyby jakiegokolwiek poparcia z waszej strony doznał; do refleksyi powyższych dał mi powód ostatni zjazd łowiecki, na którym oprócz sześciu członków Wydziału, było 14 członków Towarzystwa — czy wobec tak licznego zjazdu można jakąś pracę dla dobra łowiectwa krajowego przedsiębrać? Nie dziwmy się, że starania Wydziału łowieckiego i petycye jego do Sejmu idą już trzeci raz do kosza, nie dziwmy się, że nas trapią niejedne łowieckie kłopoty, bo 14 członków zjazdu, nie może podnieść skutecznego protestu przeciw nadużyciom, bo 14 członków Towarzystwa nie ma siły, aby coś słusznego u legislatywy naszej krajowej wyjednać. Kiedyż już stosowniejszą chwilę na zjazd obrać, jeżeli nie zebranie się w stolicy Sejmu, wyścigi, zjazd akcyonaryuszy kolei podolskich i odsłonięcie pomnika ś. p. Agenora hr. Gołuchowskiego? wkażcie mi chwilę dogodniejszą, a nie będę tyle zarozumiałym, abym nie usłuchał głosu słuszności. Marzeniem mojem jako jednego z tych, których raczyliście postawić na czele naszego Towarzystwa, było stworzyć dzisiejszą drużynę łowiecką jednomyślną, karną, mającą baczne oko na wszystko, co łowiectwa dotyczy, chciałem, aby organa nasze były nakształt rady przybocznej starosty i marszałka każdego powiatu, pragnąłem, aby w kwestyach łowiectwa krajowego decydujący wpływ po powiatach wywierały organa nasze t. j. delegaci galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, a jeżeli podniesie się jaki protest przeciw nadużyciom, aby ten protest był potężny, wydobywający się z piersi 360 delegatów. Regulamin opracowany dla delegatów nic innego na oku nie miał, jak tylko stworzenie tej siły potężnej. Poparcie mielibyśmy, gdybyśmy chcieli pojąć stanowisko nasze nie tylko w rozumieniu zabawy łowieckiej, lecz i w wyższem krajowem. Moglibyśmy nie na jednem polu dźwigać się sami, byle chęci trochę, a nie koniecznie pod przymusem c. k. egzekutora, lub c. k. strafbotnika, lub w formie Verordnungów.

Widzę nie na jednem czole marsa i oburzenie za tych kilka słów poprzednio wypowiedzianych, lecz proszę za nie o przebaczenie, bo mi je podyktowała miłość dla kraju ojczystego, za którą moi przodkowie krew przelewali i za który oddałbym ostatnią jej kroplę, gdyby się do tego sposobność nadarzyła. JE. hr. Roman Potocki, nasz Prezes i ja chodziliśmy za sprawą zmiany ustawy łowieckiej, której domagał się ogół przez usta Prezesa Towarzysta św. Huberta we Lwowie, p. Krogulskiego, ponieważ jednak referatu tego nikt się podjąć nie chciał, zjazd łowiecki nie zaimponował, sprawa odłożona „*ad calendas graecas*“.

Czarkowski-Golejewski.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

I znów zaczęły się długie chwile oczekiwania. Nieżywe koźlę majaczyło przed nami czarną plamą. Mohamed przysunął sobie kubek i począł zwolna żuć kukurydzę, rozgryzając twarde ziarna z pewnym chrzęstem. Trwało to dość długo, gdy wydało mi się, że obok chrupania shikarego, słychać inne, jakby chrupanie kości. Jednocześnie Mohamed dotknął mego kolana i wskazał w stronę koźlęcia. „Assad"? spytałem go szeptem, lecz kiwnął, głową, że nie. „Marfain" (hyena). „Ai-wa" (tak) — odpowiedział. „Więc trzeba sprobować zabić hyenę, kiedy się ze lwem nie udało, pomyślałem sobie i znów zmierzyłem się w tę stronę, bom absolutnie nic nie widział i strzeliłem. Tak jak i za pierwszym razem, cisza grobowa zaległa po strzale. Zwierz uszedł.

Lecz nie upłynął kwadrans, gdyśmy usłyszeli znów chrupanie kości. Znów strzał i znów cisza. Ten strzał był jakiś nienormalny, gdyż mnie o mało nie wywrócił. Jednocześnie uczułem silny ból w nosie: krew obficie uchodziła z rany, jaką mi strzelba swem uderzeniem zrobiła. Zły już byłem na tę moją nieudolność widzenia wśród ciemności. Czekałem jeszcze czas jakiś (była wtedy godzina 10 i pół), aż wreszcie znudzony, zapaliłem ostatniego papierosa; lecz jeszczem go nie dopalił, gdy Mohamed schwycił mnie za kolano: „Nemer" (pantera) — rzekł szeptem, wskazując mi palcem. „Skoro się nas nie boi — pomyślałem — bo przecież musiała widzieć, że ja papierosa palę, to ja ją spróbuje mym ręcznym akumulatorem oświecić". Wysunąłem więc rękę przez otwór zeriby i nacisnąłem guzik akumulatora. Lecz światło było za słabe, aby cośkolwiek mogło mi pomódz. Wtedy spróbowałem innego sposobu. Zmierzyłem się do gwiazd, a potem, nie odejmując strzelby od twarzy, przesunąłem lufy w otwór i mierząc nieco ponad czarny cień koźlęcia, strzeliłem. Po strzale rozległo się kilkakrotne jakby silne i grube miauknięcie, słychać było szelest uciekającego zwierza. „Idrop„ (raniona) — rzekł mi z radością Mohamed.

„Nareszcie" — pomyślałem sobie, bo już mi ta bezowocna strzelanina kością w gardle stanęła. a teraz, kiedy już lew strzałem spłoszony, hyena (?) również, a pantera postrzelona, nic już chyba nie przyjdzie do zeriby. Najlepiej więc jest zasnąć (była wtedy godzina 11-ta). Dałem do zrozumienia Mohamedowi, że ja spać będę, a on niech czuwa, co gdy zrozumiał, owinąłem się w kołdrę i wkrótce zasnąłem. Lecz sen nie bardzo trzyma się człowieka, gdy się ma w perspektywie, że lada chwila może przyjść jaka bestya i wziąć go za czuprynę. Budzę się, patrzę na zegarek przy świetle akumulatora — dwunasta; zasypiam, budzę się — w pół do pierwszej, potem pierwsza. Owinąłem się dobrze w kołdrę, bo noc była dyabelnie chłodna, jak na 12^0 szerokości, zamknąłem oczy, lecz w chwili, gdy sen zaczynał odrętwiać me ciało, uczułem nerwowe ściśnienie kolana. „Assad, assad" — mówił szybko Ahmed, a miecz swój już trzymał w ręku. Chwyciłem za broń, roztworzyłem szeroko zaspane oczy, lecz wśród ciemności nic widzieć nie mogłem. Słyszałem tylko jakiś niewyraźny szelest i Ahmed mimiką dał mi do zrozumienia, że lew uniósł koźlę. Widocznie jednak daleko z niem nie uszedł, bo wkrótce rozległo się wśród ciszy nocnej chrupanie kości i glamanie... Siedziałem na mem krześle, bezsilny w obec niewidzialnego zwierza i słuchać musiałem cierpliwie, jak ucztował w odległości może kilkunastu kroków... Trwało to 20 minut lub pół godziny...

W tem shikari chwycił mnie prawą ręką nerwowo za kolano, lewą sięgnął po szablę... „Assad, assad, assad" — powtarzał szybko szeptem. Zrozumiałem, że lew idzie na zeribę. I w umyśle moim przemknęła myśl, że potężny ten wróg, zakąsiwszy koźlęciem, czem sobie tylko apetyt zaostrzył, myśli teraz o nas, bo cóż innego mogłoby go skłonić do tego kroku. I wtedy zdjął mnie strach. Gwałtowną pantomimą dałem do zrozumienia Mohamedowi, że nic nie widzę; wtedy on skierował moje lufy, ja się do osady przyłożyłem i huknął strzał wśród ciszy nocnej. Słucham... cisza jak w grobie. W tem rozległo się tuż w bliskości straszne, ponure stęknięcie, w którem słychać było, jakby słowa: „drzyjcie przedemną": potem drugie, trzecie... a zatem niskie potrójne ryknięcie tak straszne, że krew się ścięła w żyłach... Słychać szelest kroków po suchych trawach, a potem znów cisza.

Położenie moje było tak przykre, że stanąłem w zeribie, nad którą o całą głowę górowałem, w nadziei, że przez wierzch zobaczę cień jaki i będę w stanie strzelić. Nic jednak nie mogłem wśród ciemności dostrzedz. Mimowoli przypomniał mi się senaarski *man-eater*, jak brał z zeriby swą ofiarę; lecz cóż było robić: wolałem to, niż siedzieć na krześle z myślą, że lada chwila spadnie mi na głowę potężne ciało drapieżnika. Cisza panowała zupełna, więc siadłem znów na krześle. Lecz po chwili rozległo się straszne stękanie, — tym razem już za nami: lew w koło zeribę obchodził.

I zaczęły się dla mnie chwile niepewności bez końca. Lew ciągle zeribę okrążał, stękając i rycząc od czasu do czasu. Niekiedy podchodził tak blisko, że słychać było jego ryk straszny tuż przy nas, czasami szeleścił po sąsiednich trawach. Pierwotne uczucie strachu w skutek dziwnej reakcyi psychicznej zamieniało się czasami we mnie w złość przeciwko temu wrogowi, który mnie w tak przykrej pozycyi trzymał. Wstawałem wtedy w zeribie, spodziewając się go ujrzeć, lecz gdy nic nie mogłem zobaczyć, strzelałem z mannlichera w tę stronę, aby nieprzyjaciela trzymać w respekcie. Tak mało na to zwracał uwagi, że nieraz wnet po strzale rozpoczynał swój ryk przejmujący.

Z jakąż radością spostrzegłem, że księżyc w ostatniej kwadrze wysunął się już nad horyzont i oświecał swem bladem światłem wierzchołki wyższych drzew i krzaków. Liczyłem, że przy tem słabem świetle albo będę mógł lwa dojrzeć i strzelić do niego, albo, że on się raz do dyabła wyniesie. Było wtedy nieco po 3-ciej. Jakżeż wolno skracał się cień mojego kopca termitowego! Aż wreszcie o godzinie 4-tej, gdy całą polankę przedemną oblewało blade światło księżyca, lew ryknął potężnie. Mohamed dał mi znać ręką, że sobie poszedł. Jakoż nie słyszeliśmy go już więcej.

Tak więc 3 godziny spędziliśmy wśród strasznych chwil niepewności, licząc, że każdej chwili lew mógł przeskoczyć zeribę, do czego zresztą nie brakło mu widocznie ochoty i tylko wstrzymywał go strach, że ci ludzie tam w zeribie czuwają bezustanku. Gdyby to był

man-eater, sprawa z nami skończyłaby się mniej pomyślnie.

Otuliłem się w kołdrę, bo chłód był przejmujący i starałem się zasnąć, lecz sen skutkiem silnego zdenerwowania nie imał się mych powiek. Świtać też wkrótce zaczęło, a gdy na pół rozedniało, usłyszałem hopanie hrabiego, który z ludźmi przyszedł dowiedzieć się, co się ze mną dzieje. Obejrzeliśmy tropy lwa i poszliśmy za nimi ze 300 kroków. Śladów farby na strzale nie było, więc hrabia, spiesząc naprzód, nie radził tracić czasu na niepewnego postrzałka — panterę, Zgryziony niepowodzeniem i skostniały od zimna, wróciłem wraz z innymi do obozu, gdzie nas już czekała gorąca herbata.

Zaraz po 8-mej wyruszyliśmy z obozu, pozostawiając za sobą karawanę. Droga prowadziła wciąż starem łożyskiem Nilu, które miejscami rozszerzało się znacznie, tworząc obszerną dolinę, to znów zwężało. Pośrodku tej doliny rozciągało się spore jeziorko, na którem stada kaczek *(Dendrocygna viduata)* żerowały tą wczesną porą. Stefan, jako główny dostawca ptaków na kuchnię, zlazł ze swego osiołka, bez trudu podkradł się do stada i kilkoma strzałami zabił trzy kaczki, między któremi jedna zwyczajną cyraneczkę.

Minąwszy jeziorko, wkroczyliśmy do suchego łożyska rzeki, zarośniętego miejscami krótką zieloną trawą, to znów wysoką suchą trzciną, aż w końcu, koło godziny 10-tej, porzuciwszy dawne łożysko Nilu, wkroczyliśmy do gęsto zarośniętej dżungli. Zaczęły się pojawiać pierwsze okazy pięknej wachlarzowej palmy, drzewa były tu większe, niż spotykane dotychczas. Wkrótce potem Ahmed Idris zatrzymał konia i pokazał nam szeregi wielkich dołów, mogących mieć blisko łokcia średnicy i przynajmniej $^{3}/_{4}$ głębokości. Były to tropy słoni, pozostawione jeszcze w czasie pory dżdżystej, kiedy grunt od ciągłych deszczów rozmięka, a miejscami nawet pokrywa się niewątpliwie wodą. Jak przy pierwszym tropie lwa, tak i tutaj doznałem niezwykłego wrażenia na myśl, że znajduję się w kraju, gdzie przebywa ten największy z dziś żyjących czworonogów, o którym tyle się naczytałem w opisach eksploratorów i myśliwych afrykańskich. W podobnych chwilach człowiekowi pomimowoli przychodzi na myśl, czy nie śni przypadkiem, tak małoprawdopodobną wydaje mu się rzeczywistość. Niemniej w tym wypadku widok tropów słoni napełnił dusze nasze niewypowiedzianą radością, że nareszcie po tak długiej podróży dotarliśmy do okolic, gdzie te zwierzęta spotkać można.

Posuwaliśmy się dość szybkim truchtem, gdy naraz usłyszeliśmy za sobą jakiś krzyk, jakby nawoływanie. Hrabia spodziewał się gońca z Karkocz z odpowiedzią na telegram do Omdurmanu w kwestyi parowca na Białym Nilu; przypuszczaliśmy więc, że to umyślny nas goni. Okazało się wszelako, że to jeden z ludzi naszej karawany pędzi za nami na rasowym wielbłądzie *), przynosząc niezwykłą wiadomość, że trzy lwy zalegly na samej drodze i nie chcą puścić karawany.

Nie było czasu do namysłu. Hrabia oddał oba swe sztucery (cal. 450 i 303) Arabowi na wielbłądzie, ja chwyciłem mego mannlichera i poprzedzani przez obu shikarich — Idrisa i Mohameda — pogalopowaliśmy napowrót; za nami pędził na swym wielbłądzie Arab, poganiając krzykiem swego krnąbrnego wierzchowca, który strasznym rykiem manifestował swe niezadowolenie z tak szybkiej jazdy.

Był to szalony galop po wijącej się wśród kępiastej trawy ścieżce, gdzie lada chwila nasze konie potknąć się mogły, narażając nas na ciężki upadek. Ja w pośpiechu bata nie wziąłem, krzykiem więc i piętami ekscytowałem mego rumaka, którego widocznie siły zaczynały opuszczać. Galopowaliśmy tak ze 20 minut, gdy na zakręcie doliny spostrzegliśmy wreszcie w odległości $^{1}/_{2}$ wiorsty rozsypaną karawanę; ludzie stali i pokazywali coś ku gąszczom, za nimi wielbłądy spokojnie żerowały.

Gdyśmy dopadli karawany, dowiedzieliśmy się, że dwa (a nie trzy) lwy — lew i lwica — po naszem już przejściu zasiadły jak psy na samej drodze i gdy karawana do nich podeszła, mimo krzyku ludzi, ruszyć się z miejsca nie chciały. Wygląda to na opowiadanie z „Tysiąca i jednej nocy“, aby dwa lwy mogły powstrzymać pochód karawany, złożonej z 50 ludzi i 24 wielbłądów; a jednak musieliśmy dać temu wiarę wobec niezbitych faktów. Dragoman Shaya powziął doskonałą myśl posłania za nami gońca, który lwy objechał gąszczem i nas dogonił. Oba lwy na chwilkę przed naszym przyjazdem zeszły z drogi do gąszczu, nie dla tego jednak, aby się ludzi bały, lecz, prawdopodobnie dla tego, że im skwar słoneczny dokuczać zaczynał. Jeden z nich stał jeszcze na brzegu dżungli i jego to ludzie palcami pokazywali.

W czasie galopu tak nam w gardłach pozasychało, że literalnie językiem poruszać nie mogliśmy; szybko więc odwilżyliśmy usta wodą, hrabia oba swe sztucery nabił, sam wziął 450, Fadilowi dał 303; ja podciągnąłem sprężynę mannlichera i tak ruszyliśmy we dwóch ku gąszczowi, poprzedzani przez młodego shikarego. Zrobiwszy jakie sto kroków, Fadil zatrzymał się i ręką wskazał ku dżungli. Wysunęliśmy się z za krzaka, który nam widok zasłaniał i zrównawszy się z Fadilem, spostrzegliśmy w odległości 70 kroków wspaniałego zwierza. Stał prawie bokiem do nas, odwróciwszy ku nam swą dumną głowę. Cienie krzewów, pod któremi się znajdował, tworzyły na jego ciele rodzaj plam i żebrowania. Patrzał wprost na nas, jakby z pogardą; gdyśmy jednak parę kroków zrobili, aby się zbliżyć do niego, ruszył, lecz znowu stanął. Nie było rady, trzeba było z tego miejsca strzelać, bo jeszcze kilka kroków i upragniony zwierz skryje się nam wśród gąszczu dżunglowego.

Stanęliśmy więc i spokojnie zmierzyliśmy do groźnego nieprzyjaciela. Ja mierzyłem na komorę i trzymałem go już na muszce, nie chcąc jednak psuć hrabiemu strzału, czekałem, aż detonacyę usłyszę. I gdy runął strzał, ja pociągnąłem lufami, wiedząc z doświadczenia, że zwierz ruszy i cyngiel nacisnąłem.

Po tych dwóch, prawie współczesnych strzałach lew ani nie ryknął, *) ani też znaku nie dał. Wydało mi się tylko, że gdy ginął w gąszczu, zadem jakby pociągnął.

— Teraz pójdziemy za postrzałkiem, rzekł do mnie hrabia, nabijając wystrzeloną lufę.

Chciałem i ja zmienić ładunek z magazynu, lecz mechanizm się zaciął i niepodobna było zamknąć sztucera.

---

*) Wielbłądy takie, zwane *mehari*, służą do szybkiej wierzchowej jazdy.

*) Lew raniony zwykle ryczy strasznie z bólu i wściekłości.

Hrabia wziął go do ręki, lecz też nic nie mógł poradzić. Wtedy dał mi swój cal. 303, nabity kulami w półpancerzu niklowym. Stary Ahmed Idris, który dotychczas szedł za nami, wysunął się teraz naprzód: jego obowiązkiem było prowadzić nas po tropie, co też spełnił, nie czekając rozkazu.

Była to chwila niezwykle uroczysta. Każdy z nas wiedział, że postrzelony lew w dziewięciu wypadkach na dziesięć rzuca się, gdy iść po jego tropie, a tym razem niebezpieczeństwo było tem groźniejsze, że gęste krzaki i wysoka do pasa trawa stanowiły doskonałe zakrycie dla rannego zwierza. Mimo więc najbystrzejszego wzroku można było zetknąć się z nim oko w oko, a wtedy biada nam.

— Będzie źle, myślałem sobie; ktoś z nas może skórą opłacić tę całą awanturę.

Szliśmy tak zwolna — przodem Ahmed Idris, za nim my dwaj obok siebie, gdy jednak nieco dalej krzaki się ścieśniły, zmuszony byłem iść za hrabią. Żaden z nas dwóch nie wiedział, czy lew jest raniony, czy nie, bo ani nie było czasu tropów badać, ani też Idrisa o to pytać. Cała nasza uwaga wytężona była na boki z myślą, że wnet usłyszymy straszny ryk i ujrzymy szarżującego zwierza. Chwilami robiło mi się żal starego shikarego, który nie posiadając broni, był wystawiony na największe niebezpieczeństwo, jako przodem idący. Trudno jednak bawić się w sentymenta: Idris widział, na co się godzi.

Trop skręcił raz pod prostym kątem na lewo, nieco dalej znów — na prawo. Zrobiliśmy tak ze 150 kroków od strzału, gdy naraz Fadil, idący o kilka kroków za mną, dogonił mnie, schwycił silnie za rękę i rzekł szybko szeptem „Assad, assad“! Odwróciłem się, lecz ponieważ z tego miejsca już nic widać nie było, więc nie uprzedzając hrabiego, szybko cofnąłem się za Fadilem z 10 kroków i stanąwszy obok niego ujrzałem lwa w odległości 20 kroków na lewo od naszego pierwotnego kierunku. Leżał w cieniu rozłożystego krzewu, na górce, nieco wyżej naszej pozycyi, zwrócony do nas prawym bokiem, z głową dumnie do góry podniesioną... Patrzył nam prosto w oczy.

Wiedziałem, że tu w grę wchodzi moje lub Fadila życie, więc spokojnie, lecz szybko zmierzyłem w łeb i cyngiel ściągnąłem. Lew, jak piorunem rażony, wywrócił się, rozkraczając szeroko swe potężne łapy. (D. c. n.)

(*Łowiec polski, Sztolcman*).

URYWEK
z „Moich wypraw w ukraińskie stepy“.*)

Od p. Branickiego dowiadujemy się, że psiarnia i huntery dawno już poszły naprzód, że *meet* dzisiejszy o piętnaście wiorst stąd odległy. Wsiadamy do powozów, szybko jedziemy otwartym stepem, przy ślicznej jesiennej pogodzie. Uroczo ten kraj wygląda, przy świetle jasnego słońca lub pełnego księżyca. Wszyscy mi mówią, że te stepy ukraińskie jeszcze więcej godne widzenia, kiedy pszenica dojrzewa, kiedy te bezbrzeżne łany łagodnym wiatrem falują.

P. Branicki pokazuje mi zdaleka nasz dzisiejszy *cover*, pasiekę dużych rozmiarów. Witam się z moją *Lady*, wszyscy wsiadamy na konie i rozjeżdżamy się między te niebotyczne dęby, które od wieków opierają się wichrom stepowym.

Trochim powiada, że dzisiaj wszystkie lisy na wierzchu, bo one, także lubią słońce i pogodę. Nie myli się Trochim, bo widzimy przed sobą między dębami myszkującego lisa, który już nas zoczył. Nie wie, co ze sobą zrobić, przeczuwa niebezpieczeństwo. Swoim nogom i szczęściu nieraz życie zawdzięczał i tym razem nie mogąc się już do jamy schronić, ratuje się ucieczką w step otwarty. Nie spodziewaliśmy się, że lis nasze myśli zgaduje, że spełnia nasze życzenie. Za chwilę jedziemy wszyscy ostrym galopem po tych ścierniach, po których się tak wybornie jedzie. Psy lisa nie widzą, my go widzimy chwilami, bo często chroni się i biegnie owymi rowami, o które tutaj nie trudno. Kilka dobrych skoków mamy już za sobą, więcej jeszcze nas czeka. Rozkosz dla jeźdzca jechać i skakać na tych stawiskich koniach! *Run* się przedłuża, Trochim powiada, że to jeden z najtwardszych lisów, lecz nie ma on gdzie się schronić. Jesteśmy jak na otwartem morzu. Lisa coraz bliżej mamy przed sobą, widocznie ma dosyć tej drogi, psy coraz więcej się do niego zbliżają, zaczynają iść na oko. Widocznie chwile lisa policzone i koniec polowania bliski.

Talli-ho, talli-ho! Rozlega się po stepie, głos trąbki gubi się w powietrzu. Jedziemy ciągle najszybszym galopem. Nareszcie psy się rzucają na swoją ofiarę. Ja pierwszy zeskakuję z konia, chwytam lisa za kitę. Trochim ją ucina i mnie ją dorecza. Nie spodziewał się ukraiński lisiura, że jego największą ozdobą będę się szczycił nad brzegami Sanu!...

Pisałem w Hurku 1900 roku.

Józef Skarbek Borowski.

*) Wspomnienia te drukował „Kuryer Poznański„ i „Gazeta narodowa“.

Aklimatyzowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

Ciąg dalszy.

Wapiti (*cervus canadensis*), potężny reprezentant rodu jeleniego w północnej Ameryce i najbliższy krewny naszego jelenia, zasługuje tu na wzmiankę, ze względu na liczne i kosztowne próby zaaklimatyzowania go w Europie i krzyżowania go z tutejszym jeleniem, celem poprawienia zdegenerowanej jego rasy.

Jeleń ten, na którego polowanie opisał tak ślicznie Sienkiewicz w swoich listach z Ameryki, odznacza się przedewszystkiem swoim potężnym wzrostem i rozmiarami. Dochodzi on niekiedy długości 2 metrów, a wy-



Tadeusz Kossak, Juliusz Kossak, Włodzimierz Cielecki, Antek, Ludwik Szawłowski, Zofia Cielecka, Oktaw Orłowski, Kazimierz Tuszyński, Adam br. Heydel.

Polowanie z biglami.

Przez Juliusza Kossaka.

Ze zbioru Józefa Skarbka Borowskiego.

sokości półtora metra — wagi nierzadko 500 kg. Olbrzymio zarysowane rosochy dosięgają wysokości 150 cm. różnią się jednak tem od rosochów jelenich, że nie tworzą na wierzchu korony, stanowiącej takie imponujące zakończenie wieńców naszych starszych jeleni, lecz dzielą się na odnogi pojedyncze. Odnóg tych nie więcej zwykle jak dwanaście, chociaż widziano jelenie kanadyjskie z dwudziestoma odnogami.

Jelenia kanadyjskiego nazywają w ojczyźnie jego „elk“, chociaż jest to nazwa właściwie łosiowi się należąca, na którego oznaczenie Amerykanie północni używają wyrazu „moose“.

Pomimo swej potężnej budowy wydaje się jeleń kanadyjski więcej wydłużonym niż wysokim — i więcej jest rozwiniętym w tylnej części ciała, która jest nawet trochę wyższą od przedniej. Nie nosi on głowy tak wysoko jak nasz jeleń, lecz wyciąga ją przed siebie. Według naszych pojęć, nasz jeleń wygląda o wiele szlachetniej i zgrabniej pod względem budowy, niż jeleń kanadyjski i jego bardzo bliski krewniak, również bardzo potężny maral azyatycki, (mandżuryjski i syberyjski).

Jest rzeczą możliwą, że jeleń i jeleń wapiti należały niegdyś, w czasach przedhistorycznych, do jednego i tego samego rodzaju i że obecna różnica między nimi powstała pod wpływem odmiennych stosunków i warunków życia. Przemawia za tem ta okoliczność, że pomiędzy Azyą i północną Ameryką, niegdyś bardzo łatwo mogło istnieć bezpośrednie połączenie. Budowa dolnych części nóg i czaszki cerwidów spowodowała zoologów do podzielenia ich na dwie grupy „plesiometac arpal“ i „telemetac arpal“. Otóż wszystkie cerwidy europejskie i starego świata w ogóle, jedynie z wyjątkiem sarny, należą do pierwszej grupy — jelenie nowego świata, z jedynym wyjątkiem jelenia kanadyjskiego, do drugiej grupy. Stąd przypuszczenie, że wapiti jest tak bliskim krewnym jelenia. Brehm tak dalece uważa jelenia kanadyjskiego za ten sam gatunek, do którego należy nasz jeleń, że w swem obszernem dziele, zaledwie parę wierszy jeleniowi wapiti poświęca.

W sprawie użycia jelenia wapiti do poprawienia rasy jelenia europejskiego, znalazłem w „*Mittheilungen*“ artykulik, który tu w całości cytuję, bo podaje najlepiej początek i częściową historyę tego eksperymentu.

„Cały kompleks zmian, które za sobą rozwijająca się kultura przynosi, intenzywna produkcya rolna, w końcu niezliczona ilość innych rozmaitych okoliczności, są przyczyną, że jelenie w całej prawie Europie degenerują, t. j., że konstytucya rodu jeleniego staje się coraz słabszą, a wieńce pod względem składu, wielkości, wagi i formy coraz gorzej się przedstawiają. W klasycznym kraju jeleni, w Szkocyi, gdzie prawie trzy czwarte części powierzchni oddane są dla użytku łowiectwa, wystąpił ten objaw najpierwej. Wielkie podwyższenie stanu jeleni, rozmaite sztuczne środki, które okazywały się koniecznymi do utrzymania takiego stanu zwierzyny przy życiu, a stosunkowo za małe granice, w których jeleń wolno mógł się obracać, stały się tu najważniejszą przyczyną degeneracyi. Trzeba tu jeszcze wziąć w rachubę ustawiczne zmniejszanie się lasów i wprowadzenie koniecznych płotów i murów. Wołania wszystkich hodowców zwierzyny za stworzeniem warunków naturalnych przy chowie jeleni, są bezkuteczne, bo niemożliwe do spełnienia. Do stworzenia tych warunków dla bardzo wielkiego stanu jeleni, jaki często w niektórych krajach spotykamy, nie wystarczają podane w księgach recepty.

Trzeba było szukać innych środków, ażeby jeleniowi nowożytnemu dać ten typ, który czyni go myśliwemu tak pożądanym.

Ponieważ w warunkach wyżej opisanych nie może być mowy o naturalnem odświeżeniu krwi, musiano się udać do środków sztucznych. Żadna teorya nie może tutaj innego środka podać. To zapatrywanie było dla mistrzów hodowli, Anglików, oddawna już rzeczą nie wymagająca udowodnienia; zwrócili oni już wcześnie uwagę na degeneracyę zwierząt, a specyalnie zwierzyny łownej. Bo nietylko jeleń degeneruje, ale także zając, bażanty, kuropatwa, temu samemu ulegają losowi. U ostatnich tych rodzajów zwierzyny degeneracya nie ma istotnego znaczenia, dopiero u jelenia jest ona niezmiernej wagi — każdemu bowiem myśliwemu chodzi przy zabiciu jelenia o trofea, a nie o „mięso“. W Szkocyi jelenie mają wieńce tego rodzaju, że nie przedstawiają żadnej ponęty, jako ozdoba myśliwskiego pokoju. Ta okoliczność spowodowała kaledońskich hodowców zwierzyny do spożytkowania swoich wiadomości, zdobytych na polu hodowli zwierząt domowych, także i na polu hodowli zwierzyny. Ponieważ degeneracya jeleni, przyczynę swoją miała przeważnie w tem, że łączenie się następowało w tej samej rodzinie, postanowiono połączyć jelenia z innym pokrewnym mu gatunkiem, importowanym z innych ziem. Z początku próbowano nawet odświeżać krew przez dowiezienie jeleni z Anglii, a mianowicie z Walii — ponieważ jednak i te, z tych samych, co szkockie powodów, silne nie były, doświadczenie okazało nieodpowiednie rezultaty. Następnie sprowadzono jelenie z kniei kontynentalnych, ale i tu pożytek nie był wielki. W końcu postanowiono z całą energią użyć najradykalniejszego środka i zwrócono oczy na najsilniejszy gatunek jeleni, jaki istnieje na kuli ziemskiej.

Ks. Beanfort sprowadził kilka jeleni wapiti z Ameryki i puścił je wolno w swoich rozległych rewirach łowieckich. Brak doświadczenia, który zawsze w takich sprawach największe czyni przeszkody, był powodem, że i tutaj zapłacono dużo za tę próbę, która się zupełnie nie udała. Przedewszystkiem rozpowszechniono wieść, że produkty skrzyżowania jelenia z wapiti są bezpłodne. Dawniej mniemano, że wszystkie bastardy mają tę ujemną stronę. Hybrydy starszych zwierząt, które należą do tej samej rodziny, ale do innego gatunku, uważano za niezdolne do rozpłodu. Że to nie jest prawdą, wie obecnie każdy hodowca. Ponieważ wapiti i jeleń nasz są bardzo blisko spokrewnione, przeto niepłodność ich produktu nie miała najmniejszej podstawy. Pomimo tego, że pierwsze próby nie udały się, albo że właściwie nie dały odrazu oczekiwanego rezultatu, czyniono dalej doświadczenia, które często uwieńczone zostały niespodziewanie pomyślnym skutkiem. Przedewszystkiem musiano i tu walczyć z uprzedzeniami do nowości. Rozpoczęte w Szkocyi doświadczenia były prowadzone na małą skalę. Pierwszy zwierzyniec doświadczalny miał tylko 22 morgów otoczonej płotem powierzchni, na której jednak zamknięte jelenie miały

wszelkie warunki potrzebne im do życia, oprócz zupełnej wolności. Były więc w tym parku pola, łąki, kawałki lasu, woda bieżąca, a nawet bagniska. Pierwszymi osiedleńcami były trzy cielne łanie wapiti, z których jedną w tym stanie sprowadzono już z Ameryki. Nie sprowadzono żadnego jelenia, gdyż było powszechnem mniemaniem w Anglii, że łanie jelenie, odstanowione przez rogala wapiti, giną przy ocieleniu się. Przytem uważano krzyżowanie między naszym jeleniem, a łanią wapiti za pomyślniejsze o wiele, niż odwrotne. Teraz cały świat łowiecki angielski patrzył z uwagą i zainteresowaniem na ten mały zwierzyniec i oczekiwał z niecierpliwością rezultatów. Jedna z łań padła przy ocieleniu, druga wydała zdrowo na świat cielę. W zimie sprowadził sobie właściciel zwierzyńca, bez oglądania się na powszechne mniemanie, jelenia wapiti z Ameryki, i wpuścił do parku kilka, już odstanowionych łań jelenich. Rogal wapiti, któremu przy podróży odpiłowano wieńce, dostał w zwierzyńcu nienormalne i bardzo nieregularne wieńce, które w koronie nosiły dziwnie sformowaną szuflę. W roku następnym odszkodował za to swego właściciela ogromnymi, wspaniałymi, regularnymi wieńcami o 16 końcach. Wszystkie łanie w parku zostały przez tego jelenia odstanowione i łania wapiti wydała na świat zdrowe cielę, żeńskiego rodzaju równie, jak innych pięć łań jelenich, które wydały na świat trzy jelonki i dwie łanie.

Interesującym był rozwój tych, w zwierzyńcu urodzonych cieląt. W lecie 1897 urodzony produkt z jelenia wapiti i miejscowej łani miał już w następnym roku rożki, wysokie na 55 cm. z dwoma dobrze rozwiniętemi odnogami ocznemi. W drugim roku życia miał już wieńce o dwunastu odnogach, o wysokości 80 cm. Obwód rogu nad odnogą oczną wynosił 11 cm. — rogi zrzucone ważyły 2.25 kg. W następnym roku, zatem w czwartym po urodzeniu, miał jeleń ten rogi, które były podziwem całej Anglii. Pielgrzymki odbywały się do zwierzyńca, celem podziwiania tego rezultatu skrzyżowania. Szkocki jeleń byłby miał w tym czasie zaledwie ośm odnóg, a całe wieńce, mogłyby zaledwie wytrzymać porównanie z odnogą oczną tego mieszańca.

Jego dwaj bracia przyrodni mają obecnie potężne rogi, z rozpięciem ogromnem, z dziesięciu odnogami. Do tego samego ogrodzenia dano kilka szkockich jeleni i gdy znajdowały się razem w jednem stadku z jeleniami, pochodzącymi ze skrzyżowania, wydawało się, że to stoją sarny pośród jeleni. Niknęły one zupełnie przy owych potomkach jelenia kanadyjskiego i łani europejskiej. W okresie czterech lat wyprodukowano dziesięcioro cieląt skrzyżowanej rasy; łania kanadyjska wydała na świat tylko dwoje cieląt rodzaju żeńskiego.

Aby nie dopuszczać do chowu „samego w sobie“ i żeby przez ograniczenie wolności nie zaszkodzić urodzie rogów, puszczono na wolność łanie pochodzące ze skrzyżowania — czy łanie pochodzące od jelenia wapiti wydały na świat potomstwo, tego nie umiano stwierdzić. Łanie pochodzące od łani wapiti wydały zaś na wolności, jak skonstatowano, młode, zatem ze stosunku z wolnym rogalem europejskim. Mają one kształt jelenia naszego, ale formy są silniejsze i wieńce piękniejsze.

Równocześnie z tym eksperymentem, do którego przykładano w Szkocyi wielką wagę, przywieziono z Nowej Zelandyi do Szkocyi jelenie i wpuszczono do zwierzyńca celem poprawienia rasy, szczególniej pod względem wieńców. Otóż jelenie nowozelandzkie są z tej rodziny co i szkockie, bo je przedtem przewieziono ze Szkocyi na Nową Zelandyę. Tylko niezwykle pomyślne i klimatyczne stosunki Nowej Zelandyi zrobiły z jelenia szkockiego wspaniałego zwierza, jakiego chyba tylko jeszcze w Karpatach spotkać można. Chociaż to skrzyżowanie może podziałać dobrze na miejscową rasę, to wpływ ten jest tylko chwilowym, bo bądź co bądź, bliskie pokrewieństwo odbije się wkrótce niekorzystnie i znowu wystąpią atawistyczne formy. Stosunek jelenia wapiti do naszego nie jest tak bliski, zjawisko to więc nie tak prędko może nastąpić.

Jeleń nasz różni się przedewszystkiem, jak to wyżej powiedzieliśmy, wzrostem i wielkością rogów, ukształtowaniem zębów i... głosem. Głos naszego jelenia, choć może tylko dla ucha myśliwego melodyjny, jest w każdym razie bezwzględnie potężny i stanowi prawdziwy okrzyk wojenny — głos jelenia kanadyjskiego jest nikły i przypomina ryk ośli. Podczas gdy tamten ma głos głęboki i niski, ten właściwie wydaje rodzaj niskotonowego poświstu. Ta okoliczność czyni to skrzyżowanie mniej ponętnem, chociaż fakt, że wieńce mięszańców są o wiele ładniejsze, niż dzisiejszych zdegenerowanych europejskich jeleni, zachęca wielu hodowców do czynienia doświadczeń“.

(C. d. n.).

Polowanie na Narwi.

Prawie wszystkie rodzaje polowania, począwszy od polowania na lwy, a skończywszy na strzelaniu do przepiórek, powtarzają się do znudzenia we wszystkich czasopismach łowieckich i w opisach polowań. Wyjątek w tej mierze stanowi wiosenne polowanie ze swojskiemi kaczkami na kaczory w czasie tokowania; opisu jego nie znalazłem nigdzie i myślę, że jest ono wyłącznością naszej okolicy.

Polowanie to odbywa się na obszernych bagnach Narwi, w czasie od marca do końca maja, a jakkolwiek co do liczebnej wydatności nie dorownuje zasiadce na kaczki w jesieni, to jednak daleko większy posiada urok, gdyż chodzi w niem nie o masowe ubicie młodych, niedoświadczonych kaczek, lecz o podejście starego kaczora w czasie, gdy ma na sobie najbarwniejsze, godowe szaty.

Kto wskutek względów Dyany nie stał się zbyt wybredny, tudzież kto równocześnie jako myśliwy jest wrażliwy na piękno przyrody, ten podzieli z pewnością moje zapatrywanie.

— „Dobry wieczór panom“ pozdrowiła nas przy drzwiach swej chaty, żona naszego starego totumfackiego w urządzania łowów.

— „Stasiu, gdzie „ojciec“? Staś wydał ze siebie jakieś chlipeące, nosowe brzmienie, usunął z ust na chwilę, twardy, jak kamień kęs czarnego chleba i wykrztusiwszy odpowiedź „nad rzeką“ umieścił znowu w zębach czarny chleb.

— „Co tam robi“? Zęby przejechały po chlebie: „Budy“ — odmruknął chłopak — a oburzony, że mu jadło przerywano, zniknął za kupą trawy.

Chcemy wejść do domu, lecz gospodyni nie chce nas przepuścić, prosząc o chwilę zwłoki.

Grad łup z ziemiaków i ogórków, który wkrótce przeleciał przez próg, pouczył nas o przyczynie tej zwłoki.

Teraz już możemy wejść. Gospodyni przyrządza dla nas stół w jednym rogu izby — podsunąwszy go pod wizerunki najnieprawdopodobniejszych świętych z ubiegłego stulecia, przykrywa róg jeden haftowanym ręcznikiem i umieszcza na nim spory bochen czarnego chleba, pokrytego na powierzchni muchami — spodem zaś oblepionego nadpalonymi kawałkami tataraku. „Posilcie się panowie“ wzywa uprzejmie gospodyni, naco z rezygnacyą męczenników ukroiliśmy po kawałku i uśmiechając się zaczęliśmy przeżuwać tę istną mięszaninę chleba, tataraku, piasku i pieczonych much, głośno żałując, że właśnie niedawno spożyliśmy bardzo obfity obiad.

Ukradkiem pociągnął każdy z nas spory łyk z manierki, aby pomódz temu wszystkiemu przejść przez gardło i w ten sposób ofiara uznająca gościnność, została spełnioną.

Po pracy — przyjemność: więc dobywam z torby maszynkę spirytusową i pakiecik herbaty.

Gospodyni „obciera“ dwie baniaste szklanki, które natychmiast, znając uniwersalne stosowanie fartuszka, wytarliśmy jak najstaranniej.

Lecz nadchodzi uroczysta chwila — chwila wieczerzy. Z pieca, z łóżek, ze wszystkich kątów wyłaniają się główki dzieci w niemożliwie krótkich koszulkach, w niemożliwie długich kaftanach i spodniach.

Jest ich tylko siedmioro, gdyż jak, uniewinniając się, zapewnia gospodyni — czworo zmarło na „złośliwą gorączkę“, (tak nazywają tu każdą przypadłość) a najmłodsze ma dopiero trzy dni, więc chodzić jeszcze nie umie. Dzieci nie wydając ze siebie słowa spoglądają na słabo kopcący się kaganek i na dymiący garnek, gdy nagle daje się słyszeć liczne tupotanie a przez odskakujące drzwi wpada troje wesoło kwiczących prosiąt, które pomnażają rodzinę. Ale gospodyni wie dobrze, co wypada: miotła świszcząc przesunęła się między szczecią, a jasnemi główkami — i to bez różnicy, kogo napotkała. — gromadka skupiła się, zatupotała, zakwiczała, i znowu pozostaliśmy sami przy gościnnym stole.

Teraz słychać ciężkie stąpanie. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — z temi słowy staje przed nami stary Koronkiewicz, o łysej głowie, z czarnemi bystremi oczami, o haczykowatym nosie i ze sumiastymi, zwieszonymi wąsami, a za nim jego sąsiad i przyjaciel, Kitljas, wysoki blondyn, z nosem jak bulwa i twarzą pokrytą ściernistym włosem. Obaj oni są jak najgorszymi gospodarzami, lecz najlepszymi myśliwymi. Spluwając i stękając zasiadają ciężko na ławie pod piecem, wśród podziękowań przyjmują po kilka papierosów, a następnie wśród pokaszliwań i pośród kłębów wypuszczonego z ust dymu, zaczynają układać plan jutrzejszej kampanii i stawiają horoskopy co do łowieckich sukcesów.

— „Ach, szkoda, żeście panowie nie zjawili się przedwczoraj, byłto jedyny dzień dla łowów — kaczory, ciągnęły jak komary, ale jutro — tu obaj potrzęśli powątpiewająco głowami i trzykrotnie splunęli — chyba może dałoby się spróbować przy Rosginie — obok trzech stogów siana sołtysa. Wszystkiem tem nie daliśmy się zbić z tropu — z reguły bowiem, już dla samej przezorności — bywają wszelkie aspekta na ten dzień, w którym ma się odbyć polowanie, — w jak najczarniejszych przedstawiane barwach.

Brzask niedaleko, ale ze dwie godzinki przespać się można, a więc pytanie, które samo sumienie dyktuje: gdzie jeszcze nikt z was nie spał?

O, wszakże siano w szopie jest tak zapraszające, przecież sam gospodarz spał na niem tylko jeden, jedyny raz, więc jest to, że się tak wyrażę, prawdziwie dziewicze siano. Stąpamy omackiem wśród ciemności, aż gwałtowne uderzenie w nos poucza mię, że zmysł oryentacyjny zawiódł mię wprost na drabinę przed szopą.

Zaledwie wydostaliśmy się na górę, zaczyna się zwykła komedya. Wyzuwamy buty, rozpościeramy siano, które szeleści — błogie przeciąganie się i układanie — potem głośnych kilka ziewnięć, a wreszcie grobowa cisza — wszystko to trwa pełnych 15 minut. Następnie obracam się zwolna — całkiem wolno i zaczynam się drapać w plecy. Podobne skrobanie słyszę u mego sąsiada — potem cisza, a w następnych 15 minutach, sądząc, że uczyniliśmy zadość uznaniu za okazaną gościnność, siedzimy w otwartem oknie szopy, drapiemy się swobodnie i wypełniamy czas bezcelowem obliczaniem, ile inwentarza żywego zawiera w sobie szopa ze sianem, tudzież jaki procent zeń zabierzemy ze sobą.

Mimo, że jeszcze nie zaczęło szarzeć, dało się słyszeć znane nam, a tak upragnione skrzypnięcie drzwi chaty i w tej chwili nie wyczekując budzącego posła, znaleźliśmy się na dole.

Podczas gdyśmy przygotowywali kawę przy mdłem świetle kopcącej, upstrzonej przez muchy naftowej lampki, gospodarz wraz z Kitljasem czynili przygotowania do wyprawy. Chleb i słonina pakuje się do węzełka, świeżego siana napycha się w buty. Potem otwiera gospodarz drzwi komórki, a na jego wołanie „taś, taś, taś“, wtaczają się, nasi ulubieńce, ośm komicznych kaczek, upierzonych zupełnie, jak dzikie, wśród gęstego kwakania. Koronkiewicz nadstawia przygotowany wór, w którego ciemnych czeluściach znikają na wydaną komendę roztropne stworzenia, jedno po drugiem.

Po upięciu pasów z nabojami i zarzuceniu strzelb na plecy, przechodzimy pogrążoną w spokoju wieś. Chłodna, rzeźwa atmosfera nocy działa ożywczo i raźnie zdążamy — przedostając się przez cztery „przełazy“ ku rzece, która tysiącem odnóg obejmuje teren bagnisty, zajmujący kilka kwadratowych kilometrów.

Najpierw słyszymy chóralne kwakanie niezliczonych żab, następnie uderza ucho niemiły, przygłuszony głos — bi-uu, którym bąk nas pozdrawia.

Jesteśmy przy łodziach. Są to maleńkie, ledwie z trzech mocnych desek zbite środki przewozowe, w których, dopiero po nabyciu dłuższej wprawy, można się czuć swojsko, stać i strzelać z nich. Obaj przewodnicy wkładają do swych łodzi po okłocie słomy i wory z czterema kaczkami. Siadamy i my i wśród długich uderzeń szerokich wioseł wyjeżdżamy na pełną wodę.

Jeszcze kilka półgłosem wydanych wskazówek na prawo i lewo, a łodzie rozłączają się i załoga każdej z nich pozostaje osamotniona. Wyłania się prawdziwy świat cudów — nic nie widać prócz nieba, wody i szuwaru, a wszystko w mglistych, zaledwo uchwytnych konturach, a jednak wszystko wre życiem. Pluskanie podskakujących ryb — poświstywania wodnych kurek, z oddali dochodzące „hu“ bąka, świst skrzydeł spłoszonej kaczki, — wszystko to składa się na jeden wielki koncert, złożony z tysiąca głosów.

Nagle odzywa sią za mną przenikliwy, zupełnie ze sytuacyą nie liczący się krzyk kaczki — wrzask ten wydała zniecierpliwiona zbyt długiem uwięzieniem we worku, lecz przewodnik razem skierowanym ku worowi i groźnem słowem „pila“ (zaczerpniętem zapewne z kaczego narzecza), uspokoił hałaśliwe stworzenie i spokój został przywrócony.

Wreszcie wyłania się przed nami ciemna masa z szuwaru, jest to „buda“ — niska, wąska altana z olszowych i sosnowych gałązek i ze świeżego tataraku. Zatrzymujemy się przed nią. Przewodnicy uwalniają kaczki z worów, przywiązują każdej z nich do łapy długi sznur mający kamień u końca i wypuszczają je z łodzi. Kamień utwierdzony u końca sznura, spadłszy na dno rzeki — odgrywa w obec kaczki rolę kotwicy. Teraz podpływamy chyłkiem tuż pod budę, wejście do niej zasłania się tak, że tylko u góry zostaje mały otwór i już kładę się wygodnie, gotów do strzału — wyczekując świtania.

A dzień nadchodzi, o czem świadczą bielejące gwiazdy i milknące odgłosy nocy. W oddali jakby odgłos trąby, rozchodzi się wołanie ocknionych ze snu żórawi, a za pierwszym szarym przebłyskiem na wschodzie siedzi już tuż przy mnie w szuwarze trzciniak, ostrzy dziób i rozpoczyna poranny koncert, który wnet zmienia się w orkiestrę, stworzoną przez tysiąc gardzieli. Mój przewodnik trąca mnie; lecz tęgi kaczor, na którego chciał zwrócić moją uwagę, zniknął w okamgnieniu — napełniwszy tylko powietrze ostrym świstem swych skrzydeł.

Przewodnik przykłada dłoń do ust i w tej chwili rozlega się naśladowane do ułudy wabiące kwakanie, kaczki na sznurach naśladują je i prawie w tej chwili wpada między nie kaczor tak gwałtownie, że woda rozbryzgnęła się na wszystkie strony. Ale kaczki wiedzą o co chodzi, umykają przed niebezpiecznym konkurentem tak daleko, jak tylko sznur pozwoli, a skoro tylko odległość między obydwojgiem była dostateczną — zagrzmiał mój strzał, a przepyszny kaczor zaległ bez ruchu w szuwarze.

Chwilę po strzale panuje w około grobowa cisza, potem odzywa się ponownie trzciniak i w ślad za nim ćwirkania, świsty i brzmienia odzywają się jeszcze donośniej, niż poprzednio.

W dali — zagrzmiał strzał mego towarzysza polowania: widocznie i on rozpoczął łowy. Delikatnie grzechotając dzióbem — wśród naśladujących lot jaskółki — zygzaków, przeciąga mała cyranka. Wabiące kwakanie zabrzmiało, lecz tym razem cicho i lękliwie, tak że kaczor zawrócił wprawdzie, lecz zapadł daleko od budy. Widocznie musi coś podejrzywać; niepokoi się, podnosi głowę i już chce rozpościerać skrzydła do lotu, gdy pociągam cyngiel, a pomyślny strzał — na półtora odległości strzału — nie pozwala mu odlecieć. Poza sobą słyszę — miasto spodziewanego poklasku — gniewne mruczenie, które wyjaśnia mi rzut oka na zdobycz. Oto ubity kaczor leży na wodzie piersią do góry.

Zmieniamy nasz posterunek, gdyż w pobliżu tak ostrzegającego znaku nie zapadłaby ani jedna kaczka.

Obie ubite kaczki zabieramy. Kaczka z pierwszego strzału, jako leżąca brzuchem na wodzie, przedstawiała obraz żywej żeglującej kaczki i nie byłaby wcale wywoływała płochliwości u przybywających gości.

Akcya staje się coraz żywszą. Kaczory ciągną liczniej i szybciej, tuż przy mnie zapadają trzy sztuki. Już miałem nacisnąć cyngiel, lecz wstrzymałem się widząc, że między niemi znajduje się kaczka, która właśnie znajduje się pod ochroną. Aby ją oszczędzić ograniczyłem sią tylko na obserwowaniu, jak bardzo blisko mej łodzi z wdziękiem lecz wyzywająco — okrążała kaczka obu konkurentów, którzy pełni ognistego zapału uderzali na siebie w ślepej zaciekłości, już to dzióbami, jużto nogami. Gdy wreszcie powabna samka wydała pełen pożądania „kwak“ i przeleciała obok mego stanowiska — kaczory lotem błyskawicy poleciały za nią.

Jeszcze dwa kaczory przypadły mi w zdobyczy — lecz już słońce zaczyna panować wszechwładnie: raz padają jego promienie wprost, drugi raz padają odbite od szklistej powierzchni wody, tak że przymykam załzawione oczy; jeszcze raz i drugi spróbowałem przejrzeć, lecz opada mię już senność. „Kwak, kwak, kwak“ — mój Boże, więc kaczory wpadają do mej sypialni... nie, wszak jestem na polowaniu, a przedemną wznosi się wśród przeraźliwych, ostrzegających krzyków wabiących kaczek, potężna kania, unosząc w szponach jednego z ubitych na ostatku, kaczorów. Strzał, dany w leżącej pozycyi do lecącego ptaka byłby nie łowieckim wybrykiem, gdyby nie chodziło o drapieżnika, którego samo zranienie stanowi już zasługę. Wychodząc z tego zapatrywania, palę, w tej samej sekundzie, w której otworzyłem oczy i — co za ślepe szczęście — najpierw plusnął we wodzie zrabowany kaczor, po nim spadły dwie gałązki z budy, a po nich nareszcie gruchnęła kania. Pośród wybuchów śmiechu, który wywołał mistrzowski strzał, zapaliłem cygaro, poczem opuściliśmy naszą wąską, na wskróś zieloną kryjówkę. Zdobycz została troskliwie ukryta w łodzi przed promieniami słońca, poczem przewodnik przystąpił do kaczek. Na wezwanie „taś, taś, taś“, włazi jedna za drugą do łodzi, po kolei uwalnia je przewodnik z więzów, wciąga kamienie i teraz wszyscy pasażerowie czują się zupełnie swobodni, każdy robi co mu się tylko podoba, to znaczy, że kaczki strzepują zmoczone skrzydła i cicho kwakają, my zaś śniadamy i gawędzimy głośno o lepszych dawnych czasach, które w tej prowincyi trwają dotychczas w tem rozumieniu, że i obecnie kaczki liczą się tam na kopy.

Nie śmiałem zapytywać, czy także skutki polowań w obec ówczesnych samopałów były wydatniejsze, niż

teraz. Wszelkie powątpiewania w obec opowiadań z dawnych czasów są niedopuszczalne, gdyż zdzierają z nich właściwy urok, więc albo należy ich wcale nie słuchać, albo też słuchając, przyjmować wszystko — bez zastrzeżeń, za dobrą monetę.

W końcu maszerują kaczki do swej kryjówki we worku i pod żarzącymi się promieniami słońca rozpoczyna sią odwrót — ku domowi. Po drodze spotykamy mego towarzysza, a jadąc łódź obok łodzi, wymieniamy żywo doznane przygody.

Ma on wprawdzie odemnie mniej o jednego kaczora, za to jednak posiada wspaniałego żórawia, który pozwolił się podejść przy brzasku dziennym — zbyt zajęty łowieniem ryb. Wkrótce przechodzimy przez wioskę, w której panuje ożywiony, niedzielny ruch.

Wymieniamy z przewodnikami uścisk dłoni, przyczem dostaje się im sowite honoraryum i już siedzimy na turkocącej, lekkiej bryczce, która przenosi nas z wonnej, zielonej przestrzeni napowrót ku wyschniętemu — pełnemu kurzu terenowi.

Gdy wskutek uderzenia bryczki zetkniemy się ze sobą — co nam drzymkę przerywa — pytamy się wzajemnie: kiedy znowu wybierzemy się na kaczory?

(Wild u. Hund).

Znaczenie łowiectwa pod względem ekonomicznym.

(Referat p. Karola Hilsla na kongresie łowieckim wiedeńskim).

Jeżeli wspomniemy na poważne niebezpieczeństwa, które zagrażały życiu człowieka przy przedsiębraniu w dawnych czasach, łowów na niedźwiedzie, wilki i tury, a które nie zmniejszyły się dla myśliwych, polujących jeszcze dziś w podzwrotnikowych lub podbiegunowych okolicach, jeżeli odtworzymy sobie w pamięci, jak najcięższe kary na życiu i wolności, stosowane za przestępstwa łowieckie w średnich wiekach, jeżeli wreszcie, staną nam żywo przed oczami te nadmierne koszta, jakie połączone są z wykonywaniem prawa polowania w naszych czasach, to zaprawdę, będziemy zmuszeni przyznać, że pobudka do polowania nie leży wcale w chęci zysku, lecz jedynie i wyłącznie w namiętności.

W znakomitem swem dziele mówi *Oberländer*: „Myśliwi minionych wieków polowali nie dlatego, by dostarczyć kucharzowi zwierzyny, lecz dlatego, że byli myśliwymi, że parła ich myśliwska namiętność", a na innem miejscu: „polujemy, gdyż w naszym organizmie tkwi żyłka myśliwska". Godząc się w zupełności na te słowa, podzielamy równocześnie ze względów psychologicznych zapatrywanie Graesera, który twierdzi: że głęboka przyczyna namiętności myśliwskiej leży w odziedziczonych po przodkach czysto zwierzęcych instynktach, które w pierwotnej dobie człowieczeństwa, miały przysporzyć i wywalczyć pożywienie — z jednej strony, z drugiej zaś skierowane były ku samoobronie w walce o byt.

Ta atoli uciecha z pozyskania zdobyczy — przechodząc w szeregu wieków z pokolenia na pokolenie szlachetniała coraz bardziej — i dziś przedstawia się jako namiętność łowiecka, gruntująca się na przyrodzonych prawach człowieka, a nigdzie i w niczem nie stojąca w sprzeczności z zasadami etyki i prawa. Także Dimitz zwraca uwagę, że już Xenofont, uczeń i przyjaciel Sokratesa, pojmujący naukę mistrza w tem rozumieniu — co on sam — to znaczy, że rzeczywistość i praktyczność stanowią cel życia, dalej Aryan, trybun ludowy Opian, Gracyusz Faliscus i poeta Nemezyan — przekazali nam bogaty materyał, traktujący o myśliwstwie z ich doby. Wszyscy oni uczcili w obszernych poematach dydaktycznych zarówno poezyę, jakoteż etyczne i estetyczne znaczenie polowania, a uwzględnili także praktyczną potrzebę, stworzywszy formalną naukę o wykonywaniu polowania. Xenofont przedstawia łowiectwo, jako wynalazek i dar bogów, za które należy im winne dziękczynienie; wielbi — i słusznie — polowanie, jako szkołę przygotowawczą do służby wojennej, a „natężające zatrudnienie", jak je Horacy nazywa, przynosi Rzymianom cześć, zdrowie i siłę.

Z podobnemi szlachetnemi, oczyszczonemi pojęciami spotykamy się prawie u wszystkich starożytnych pisarzy. Polowanie było dla Rzymian, a więc dla narodu, o tak wysokiej kulturze, wprost potrzebą i środkiem do utrzymania się na raz osiągniętym szczeblu. Tak pojmował także polowanie cesarz Maxymilian I. i to natchnęło go do napisania dwóch dzieł „*Theuerdank*" i „*Weisskunig*", w których poetycznie przedstawił swe życie. Tak także pojmowali, dzięki odziedziczonym po pradziadzie wzniosłym intencyom, polowanie, wszyscy Habsburgowie, którzy kultywowali i do dzisiejszego dnia kultywują tę szlachetną rozrywkę. Ale także pod względem finansowym osiągnęło polowanie nadspodziewaną wyżynę, a równocześnie tem samem i znaczenie społeczno-gospodarskie.

W obec tego zachodzi potrzeba — przychody płynące dla gospodarstwa społecznego z polowania — przedstawić ponownie i wyczerpująco i postarać się o cyfrowy dowód, że polowanie w Austryi stanowi czynnik społeczno-gospodarski. Pomijamy zupełnie te rozległe przestrzenie, tak liczne w Austryi, które wprost nie są przydatne pod jakąkolwiek intenzywną uprawę, a które wymagają wielkich wydatków, przy urządzaniu na nich polowań. Wydatki te ponoszone z zamiłowania do polowań w górach — łożone tak na zwierzynę, jakoteż na zarząd, w szczególności na zapewnienie egzystencyi licznym familiom strzelców, dochodzą do wysokich rozmiarów.

Natomiast musimy wspomnieć o bardzo znacznej wartości ubitej zwierzyny, niemniej o tych osobach i zawodach — jakkolwiek nie mamy tu na myśli „szewców i krawców", które pozostaje z polowaniem w ściślejszej łączności, lub też przez czasowe świadczenie usług i dostawy, bądź pośrednio, bądź bezpośrednio są zajęte.

Wychodzimy przytem z zapatrywania, że wcale poważna stopa procentowa z ludności Austryi, znajduje w tych zawodowych lub pomocniczych gałęziach pracy swe utrzymanie i że wskutek tego ubytego, tego źródła zarobkowania — ewentualnie wskutek wolności prawa

polowania — byłby dla tych osób — bezwarunkowo kwestyą zagrożonego bytu.

Należy również wymienić czynsze z dzierżawy prawa polowania, które z biegiem czasu dosięgły wysokości, o której jeszcze przed dziesiątkami lat ani marzyć nawet nie było można. Czynsze te stanowią dla mniej zamożnych, w szczególności dla gmin w górach wprost warunek egzystencyi. Dalej nie możemy pominąć dochodu z kart, uprawniających do polowania i ze stempli. Pierwsze przypadają z reguły funduszowi gminnemu, lub dobroczynnym instytucyom gminy — drugie państwu.

W końcu należy wspomnieć o daninach z okazyi wykonywania prawa polowania na krajowy fundusz ubogich, które łącznie reprezentują wcale poważne kwoty. W obec tego wszystkiego, nie możemy wcale zaliczać do rzędu bajek twierdzeń niektórych z szczęśliwych dzierżawców prawa polowania, jeżeli głoszą, że ich jeden ubity jeleń wraz z odszkodowaniem za szkody polowaniem zrządzone — kosztuje 1000—2000 koron, zając natomiast 5 do 10 koron.

Tak więc — wartość samej zwierzyny nie może być ze względu społeczno-gospodarskiego — brana za podstawę.

Te różnorodne a w sumach imponujące źródła dochodów z polowania zasługują tem więcej na uwagę, że obowiązujące w Austryi prawa polowania i prawa chroniące zwierzynę, pozwalają właścicielowi obszaru polowania dochodzić i uzyskać pełne odszkodowanie za wszelką zrządzoną szkodę i to w sposób jak najkorzystniejszy dla właściciela.

Tak samo może występować właściciel przeciw nadmiernemu stanowi zwierzyny.

Jeżeli tedy mimo to pojawiają się w tym kierunku zażalenia, to z pewnością tylko w tym celu, by uwiarygodnić uprawnienie do żądania bezczelnych pretensyi z tytułu odszkodowania, względnie w tym celu, aby osłonić płaszczykiem nadzwyczajną ilość ubitej zwierzyny sąsiada, przez chciwych zysku posiadaczy polowania w czasie prawnej ochrony. Ale także ze względów etycznych i hygienicznych musimy przyznać polowaniu ogromne, społeczno-gospodarskie znaczenie. Jeżeli przeglądniemy imienny wykaz osób, które nabyły karty uprawniające do polowania, jeżeli przeglądniemy takież listy u bardzo licznych związków mających na celu ochronę polowania i listy związków łowieckich — przyjdziemy do niezbitego przekonania, że z osób, które uprawiają polowanie, jako wytchnienie, należy z pewnością z górą 80 procent do mieszczańskich sfer zawodowych. Stuletni jubileusz celowieckiego towarzystwa łowieckiego wykazał źródłowo i naocznie, że do związku tego, od samego początku jego istnienia, należeli i należą przeważnie profesorowie, sędziowie, lekarze, inżenierowie, prokuratorzy, kupcy, a więc osobistości, które pochodzą wprost z ludu. Wszyscy oni szukają w polowaniu tylko zawodowi ich niezbędnego odświeżenia i wytchnienia a równocześnie sposobności, by stargane w codziennej szarudze powszedniego życia — nerwy — wzmocnić, by cielesne siły skrzepić, polują, by zaprawić się do braków, powściągliwości i by uprawiać opanowanie samego siebie, a do tego jeszcze ponoszą pieniężne ofiary.

Ofiary te wpływają napowrót do przychodów ludu i usprawiedliwiają zupełnie twierdzenie: że polowanie nie jest tylko sportem, lecz w stosunkach panujących w państwach, posiadających kulturę — warunkiem nieodzownym natury i gospodarstwa ludu. W obec tego wszystkiego muszą umilknąć przeciwnicy polowania, którzy jako argument, malują jaskrawemi barwami obraz „grafa z nad Renu“ w myśl znanej ballady.

C. d. n.)

Korespondencye.

Gidle, d. 24. czerwca 1901.

Kilka słów o polowaniu na kszyki.

Zanim się zacznie sezon polowania na kuropatwy, myśliwi mają pole do popisywania się celnością swych strzałów, polując na kszyki, w języku myśliwskim pospolicie „barankami“ zwane. Polować na kszyki można dwa razy do roku, na wiosnę i jesienią. Z wiosną przeważnie bije się samce, które w porę dżdżystą najczęściej rankiem wzlatują w górę i wyprawiają właściwe im ewolucye, podczas tego, gdy samice przykładnie siedzą na jajach. Wogóle polowanie wiosną na kszyki nie bardzo się opłaca, gdyż ptak ten w tym czasie jest chudy, a zresztą można łatwo zabić z jaj samicę — co nie licuje z charakterem dobrego myśliwego; daleko lepiej polować na te ptaki jesienią, kiedy bez obawy wszystkie strzelać można, a łakomy kąsek stanowi kszyk dla podniebienia smakoszów, gdyż wtedy jest bardzo „oblany“ i mięso jego nader kruche i wytwornego smaku. Ze względu na otaczający nas wspaniały krajobraz i pyszny strzał — jest to jedno z najładniejszych i najbardziej interesujących polowań. Szczególniej polowanie to ma wiele uroku dla młodych i dobrych myśliwych, gdyż dla starych za uciążliwem jest wyciąganie nóg z grząskiego błota, skakanie po kępach i t. p. niezbędne, a męczące manewra. Słusznie myśliwy strzelający celnie do kszyków chlubić się może, gdyż strzał to bezwątpienia najtrudniejszy.

Myśliwych dublujących kszyki nieomal na palcach zliczyć można. Różne są zapatrywania myśliwych co do tego, jak strzelać do kszyków. Dwa są właściwie sposoby strzlania: 1) zaraz po wyrwaniu się ptaka, co francuzi trafnie nazywają: *„au cul levé“*; i 2) po zrobieniu przez ptaka jednego kąta, kiedy ciągnie poziomo. U nas myśliwi strzelają przeważnie pierwszym sposobem, drugim zaś większa część francuskich myśliwych. Podług mnie pierwszy sposób daleko łatwiejszy, zresztą jest to chyba rzecz wprawy i przyzwyczajenia. Kszyk zwykle podrywa się pod wiatr, myśliwy więc stosownie do kierunku wiatru powienien podchodzić. Najlepszy czas polowania na te ptaki jest pora mglista, gdyż wtedy dobrze dotrzymują, podczas ładnej zaś pogody rzadko. Po wyrwaniu się wypisuje kszyk w powietrzu, znane każdemu myśliwemu dobrze kąty i wybiwszy się na znaczną wysokość, jak strzała z góry spada, wracając czę-

sto napowrót w to samo miejsce, z którego poprzednio się wyrwał. Wogóle po wyrwaniu się nigdy daleko nie ulatuje, lecz zaraz na sąsiednich błotach zapada, często poza krzaczkami, dobrze więc strzelający i wytrwały myśliwy, chodząc uporczywie za nimi, nieraz i kilkanaście sztuk w krótkim stosunkowo czasie zabić może. Pod jesień kszyki łączą się w małe stadka, świetnie strzelając możnaby często dubleta zrobić, lecz to zbyt trudne dla przeciętnych myśliwych. Polując na kszyki trzeba się jaknajlżej ubierać w białym płóciennym kitlu... inksprimablach (chodzenie z gołemi nogami nie jest dobre ze względu na pijawki), w kamaszkach dziurawych n. p., aby woda i błoto mogły łatwo się przedostać. Taki niepoczesny widok przedstawia myśliwy polujący na kszyki. Buty długie nigdy przy tem polowaniu nie są dobre, gdyż ciężko w nich chodzić i na głębokich trzęsawiskach można się w nich łatwo utopić. Strzelby winniśmy używać cal. 20. lub 24, gdyż ciężka broń utrudnia chodzenie. Śrót najodpowiedniejszy Nr. 10 lub 11—12, zwyczajny, gdyż śrót twardy jako zbyt twardy, bardzo ptaszka rozbija. Nie należy przytem zapominać, iż polowanie na kszyki może być niebezpiecznem, ze względu na warunki w jakich się odbywa: chodzenie po grząskich bagnach, przedzieranie się przez krzaki i t. p. ewolucye z fuzyą nabitą i odwiedzionymi kurkami, przedstawia niemało niebezpieczeństwa, szczególniej dla młodych gorączkujących się myśliwych. Łatwo też bardzo utopić się i nie znając dobrze miejscowości nigdy nie należy się samemu zapuszczać na błota, łatwiej poświęcić przyjemność dla zdrowia lub życia nawet, aniżeli naodwrót. Na każdem polowaniu uwaga jest niezbędną, a szczególniej przy polowaniu na błotach. Pamiętajcie więc panowie młodzi myśliwi na te słuszne przestrogi! *Stefan Ostrowski.*

Bajkowce, w Lipcu.

Rzadkich gości mieliśmy 9. i 14. lipca: słonki. Dano mi znać, że w ogrodzie jest słonka. Nie chciałem temu wierzyć, dla przekonania się jednak, kto śmie naśladować tego czcigodnego podróżnika, poszedłem z moim kuzynem do ogrodu i przekonaliśmy się naocznie o prawdziwości raportu, albowiem wkrótce kuzyn mój chybił słonkę z powodu ogromnego gąszczu, później znaleść jej nie byliśmy wstanie.

Wczoraj znów t. j. 14. b. m. dano mi znać, że na łące w łozach widziano 2 słonki. Widziałem tylko jedną i tę chybiłem z powodu wielkiej odległości. Co skłoniło słonki do tak wczesnego odwiedzenia miejsc, na których zeszłej jesieni takie klęski poniosły, tego nie wiem. Może chciały się przekonać, czy Medard tego roku nie zamieni tych miejsc na stawy, do tego zaś nie wiele brakuje.

Adam Maniewski, delegat tarnopolski.

Kronika.

Nasze ilustracye. Dzięki łaskawym względom p. Józefa Skarbka Borowskiego możemy dać naszym czytelnikom reprodukcyę akwareli Juljusza Kossaka, która przedstawia polowanie z biglami na Podolu galicyjskiem, a która, o ile nam wiadomo, nigdzie nie była reprodukowaną.

Werki. Przed kilkunastu dniami zmarł były kanclerz państwa niemieckiego, ks. Klodwik Hohenlohe, dożywszy sędziwego wieku. Ks. Hohenlohe był znakomitym myśliwym. Był on właścicielem klucza Werki na Litwie, które to dobra musiał sprzedać z powodu obowiązujących na Litwie ustaw wyjątkowych. Ośmnaście milionów marek miały za zadanie pocieszyć księcia, doskonałego myśliwego i opiekuna zwierzyny po stracie tych dóbr, które pragnął przekazać w puściźnie swoim trzem synom. Pomimo wszelkich zabiegów i protekcyi, której księciu z pewnością nie brakło, dobra musiały być sprzedane. Swojego czasu umieściło jedno z pism niemieckich z tego tytułu następującą notatkę.

„W ten sposób klucz Werki, który obszarem wyrównywa „prawie W. Ks. Badeńskiemu zostanie przez rząd rosyjski „rozparcelowany. Dłuższego niż zwykle tegorocznego urlopu „użył książę na to, aby z Werk uratować to, co się uratować „dało, a także i na to, żeby jeszcze po raz ostatni zapolować „w tych rewirach, jakim podobnych jego ojczyzna dać mu „nie może. Z ciężkiem sercem żegnał się on z owemi miłowemi puszczami bukowemi, olchowemi i sosnowemi, w których przeżył tyle pięknych dni, zdala od światowej wrzawy „i od polityki. Niejeden łoś i jeleń, niejeden niedźwiedź „i żubr (?) padł tam od jego kuli, lub od kul jego przyjaciół, „z których najbliższymi mu byli książęta Radziwiłł i Radoliński. Gdy róg myśliwski jednego z jego łowczych zabrzmiał „(a było w dziewięciu nadleśnictwach 50 ludzi opieką nad „zwierzyną zajętych), spieszył wybór myśliwych z pierwszych „rodzin magnackich polskich, Potockich, Tarnowskich, Giżyckich, Miączyńskich i w. i., aby brać udział w obławach „i polowaniach podchodnych. Milami jechano z wspaniałego „pałacu w Werkach do rewirów. Setkami używano nagonki, „aby zwierzynę wyruszyć ze złomów i gęstwiny i sprowadzić „ją przed lufy myśliwych. Gdy już wieczorem sygnał trąbki „dał znać, że polowanie skończone, wszyscy uczestnicy polowania oglądali z zadowoleniem rozkład, umieszczony na „miękkich gałęziach sosnowych w oparkanionych podwórzach domków myśliwskich, z których słyszeć można było „rzycie wilków. Tutaj, przy blasku pochodni widzieć było można obok żubra (?), ubitego przez hr. Giżyckiego, ośmnastaka „jelenia, powalonego przez księcia Hohenlohego — obok tego „znów ogromnego niedźwiedzia, zdobycz księcia Radziwiłła „i łosie, ubite przez hr. Potockiego. Pomiędzy tą zwierzyną „najgrubszą poukładano większe i miejsze dziki, tu i owdzie „rysie i żbiki. Hr. Tarnowski ubił raz jednego dnia dwa „rysie. Nic dziwnego, że książe Hohenlohe do ostatniej chwili „starał się, ażeby podobne polowanie pozostało w jego rękach. „Niestety, wszystko napróżno — sprzedaż została postanowiona, „a żal za nieporównanem polowaniem pozostał sędziwemu myśliwemu, który dla każdego umiał być tylko uprzejmym".

Powtarzamy dosłownie notatkę niemieckiego tygodnika, nie biorąc oczywiście żadnej za nią odpowiedzialności — dodajemy tylko, że również zmarła małżonka księcia Hohenlohego, była zapaloną zwolenniczką łowów i że na jednej z ostatnich wystaw myśliwskich trofeów w Berlinie urządzanych, zwracały uwagę rogi olbrzymiego łopatacza łosia, ubitego przez księżnę w Werkach.

Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. ***Wydział.***

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**